

Różne są rodzaje zbieractwa. Jedni interesują się znaczkami, inni etykietkami z pudełek od zapalek, temperówkami, pocztówkami czy monetami.

Andrzej Stanólewicz, monter kadłubów, od 40 lat pracujący w gdańskiej stoczni, zbiera - jeśli tak można to nazwać - ozdobne, wystawowe gołębie i ma ich około czterdziestu.

W gołębniku ustawionym na garażu mieszkają ptaki białe, czarne, szare, kropkowane, żółte, brązowe, z piórami ułożonymi w wachlarz przy nodze... Jedne nazywają się bociany, inne motyle warszawskie, starogardzkie pulsujące, bo głowa im cały czas lata, wiedeńskie lotne, węgierskie...

- Kiedy byłem małym chłopcem, wszystkie wakacje spędzałem u babci na wsi w Kleszczewie - wspomina pan Andrzej. - Tam zarówno dziadkowie, jak i wujkowie mieli gołębie. Były to zwykłe, pocztowe ptaki, ale już wtedy dowiedziałem się o nich bardzo wiele. Podpatrywałem zwyczaje, sposób żywienia, hodowania. Z rodzicami mieszkaliśmy wówczas w Sopocie, w 4-piętrowym bloku. Chciałem mieć takie same gołębie, jakie trzymał wujek, czyli pocztowe. Zbudowałem mały gołębnik na strychu i tam je umieściłem. Często dawałem je na loty.

Wszystko przez przypadek

Pan Andrzej poszedł do wojska, po przejściu do cywila poznał swoją obecną żonę, potem urodził się syn, dorobił się letniskowego domku w Sulęczynie i kiedy zawiózł tam syna z babcią na wakacje, wziął im parę białych gołąbków rasowych. Synowi spodobały się ptaki, ale wakacje minęły szybko i coś trzeba było z nimi zrobić. Tata, czyli pan Andrzej, zbudował wówczas gołębnik na garażu, obok domu stojącego niemal w centrum Wrzeszcza, i tak to trwa do dzisiaj.

- Zaczęliśmy z synem jeździć na wystawy, kupować nowe ptaki, wymieniać się - kontynuuje Stanólewicz. - Obok mieszka kolega, który też ma syna i też razem hodują gołębie.

Ptaki mają własny ogródek przykryty siatką, żeby nie zaatakował ich jastrząb albo kot. Często, kiedy „wychodzą na spacer”, pilnuje ich wielki wilczur, ulubieniec pana Andrzeja. Codziennie dostają do jedzenia mieszanki z najróżniejszych ziaren: pszenicy, kukurydzy, rzepaku, a także witaminy, no i oczywiście wodę. Pracy jest przy nich sporo, bo ptaki muszą być szczepione, odpowiednio dogłądane, aby ładnie prezentowały się na wystawach.

Medalowcy

Główną dekoracją salonu państwa Stanólewiczów stanowią najróżniejsze puchary – medale ich gołębi.

- Żeby gołąb zdobył puchar, trzeba go odpowiednio wyhodować – wyjaśnia pan Andrzej.
- Trzeba je dobierać w pary, pilnować, żeby się same nie łączyły, np. czarny z czerwonym. Chów wymaga sporej wiedzy, rozmów z kolegami hodowcami, czytania książek i specjalistycznych artykułów. Trzeba też wiedzieć, że niektóre gołębie nie mogą same wychowywać potomstwa (mają zbyt krótkie dzioby), muszą więc mieć gołębie nianki. Mam kilka takich nianiek. Zabieram im ich jajka, a podkładam jajka gołębi wystawowych. Po 17-18 dniach wysiadywania pojawiają się młode. Kiedy małe same zaczynają jeść, przenoszę je do innego gołębnika.

Tak rodzą się medalowcy. Ponoć nianki nawet się nie orientują, że to nie ich dzieci, tylko cudze. Z opowieści pana Andrzeja dowiadujemy się, że gołąb może mieć aż trzy razy w roku młode. I niemal wszystkie potem są sprzedawane.

Gołębiarze to nietypowi ludzie, bo chwalą się nie swoimi osiągnięciami, tylko osiągnięciami swoich ulubieńców.

A – tak na marginesie – życie pana Andrzeja to też ciekawa historia – był uczestnikiem wszystkich stoczniowych strajków, jest członkiem „Solidarności” od 1980 r., był też członkiem prezydium stoczniowej „S”, ale o tym w jego domu już mało się mówi. Teraz najważniejsze są gołębie, ich piórka, dzioby, kolorystyka, loty... Tylko córka pana Andrzeja nie połknęła tego bakcyła.

- Jeszcze by tego brakowało – zżyma się Stanólewicz.

Tekst i zdjęcia Maria Giedz

[nggallery id=10]